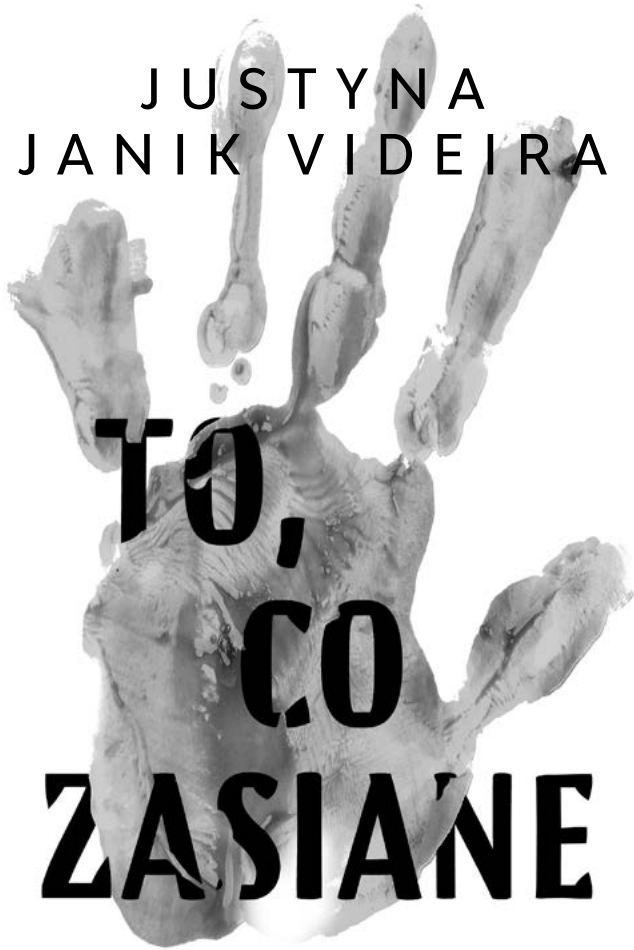


flow

JUSTYNA JANIK VIDEIRA


TO,
CO
ZASIANE

JUSTYNA
JANIK VIDEIRA



TO, CO ZASIANE

flow

Projekt okładki:
Paweł Panczakiewicz / PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN – www.panczakiewicz.pl

Ilustracje w książce:
Andrzej Lademann (na podstawie okładki); Sam Pineda / pexels.com

Redakcja:
Karolina Macios

Redakcja techniczna oraz opracowanie wersji elektronicznej:
Andrzej Lademann / komart.com.pl

Skład:
Joanna Więcławska

Korekta:
Joanna Kłos

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiejkolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych. Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

Wydanie I, Gdańsk 2026

Copyright © 2026 by Justyna Janik Videira
Copyright © 2026 by Wydawnictwo FLOW

ISBN 978-83-8364-193-5

Druk i oprawa:
Abedik SA

flow

Wydawnictwo FLOW Sp. z o.o.
ul. Potokowa 2/3, 80-283 Gdańsk
wydawnictwoflow.pl

To, co nie zostało wypowiedziane przez dziecko,
wraca w dorosłym jako krzyk.

Alice Miller



PROLOG

Ciemność miała fakturę smoły. Była lepka, gęsta, niemal dałoby się ją kroić nożem. Dziewczyna leżała nieruchomo na zimnej podłodze, czując, jak wilgoć wnika w ubranie i przenika aż do kości. Głowa pulsowała tępo, niby próbując przypomnieć sobie coś ważnego, coś, co urwało się w pół zdania.

Nie wiedziała, gdzie jest ani jak się tu znalazła. Ostatnim obrazem, który miała w głowie, była mokra ulica i nagłe poczucie zagrożenia. Ktoś wyrwał ją z rzeczywistości jednym gwałtownym ruchem. Potem tylko czerń. Szarpnięcie. Bezsilność.

Teraz była tutaj. W miejscu bez czasu i bez końca. Każdy dźwięk – kapanie wody, zgrzyt metalu – był jak uderzenie w serce. Powietrze cuchnęło rdzą i stęchlizną. Gdzieś w oddali słyszała cichy, przytłumiony oddech, może dwóch, może trzech osób. Nie była sama, ale to nie przynosiło ulgi. Raczej pogłębiało lęk.

Bała się poruszyć. Nie wiedziała, kto ją obserwuje, czy w pomieszczeniu jest porywacz, czy drzwi są otwarte czy zamknięte.

Czas nie płynął. Nie było punktu zaczepienia. Bez światła nie dało się odróżnić godzin od minut. Umysł próbował się bronić, przywoływał obrazy – pokoju, książek, kubka z herbatą stojącego na stole w kuchni, dłoni mamy na czole, ale wszystko to było jak z innego życia.

Leżała w bezruchu, starając się nie robić hałasu, gdy coś trzasnęło w głębi. Później usłyszała otwierane drzwi i kroki. Wtedy poczuła, jak ogarnia ją bezkresna panika...





Jeden

Deszcz zacinał w szyby, wydawało się, że chce dostać się do środka. W domu było cicho, zbyt cicho jak na piątkowy wieczór. Julia Maj siedziała w salonie, kurczowo trzymając w dłoni telefon. Ekran był czarny. Zegar wybił dwudziestą pierwszą czterdzieści dwie. Kalina powinna być w domu już ponad godzinę temu. Ponownie wybrała jej numer, ale bez skutku. Zamiast dzwonić po raz piąty, zjechała w kontaktach niżej i kliknęła w „Jagoda".

– Halo? – odezwał się dziewczęcy głos, lekko niepewny.

– Jagoda, tu Julia, mama Kaliny. Przepraszam, że tak późno dzwonię... Kalina wracała z tobą po treningu?

– Nie... Rozstałyśmy się pod halą. Ona poszła na przystanek, a ja wracałam na rowerze. Dlaczego?

– Nie ma jej jeszcze w domu. Telefon nie odpowiada, jakby była poza zasięgiem.

Po drugiej stronie zapanowała chwila ciszy.

– Ale... to niemożliwe. Wyszła może piętnaście po siódmej.

– I była sama?

– Tak. Miałyśmy jeszcze chwilę pogadać, ale się spieszyła.

– Dziękuję, Jagoda. Gdybyś się czegoś dowiedziała, dzwoń do mnie natychmiast, dobrze?

– Tak, oczywiście.

Julia poczuła, że niepokój rozlewa się w niej jak trucizna i mrozi jej serce. To nie było do Kaliny podobne. Córka zawsze pisała, dzwoniła, informowała. A dziś – cisza. Tylko jedna wiadomość o dziewiętnastej dwanaście: „Zaraz będę".

Jeszcze kilka godzin temu była tutaj, rozmawiały o wszystkim i o niczym. Kalina jak zwykle poprawiała włosy, przesuwając palcami po gładkich pasmach, aż wyglądały jak lśniąca tafla. Błysk musiał być idealny, żaden włos nie mógł odstawać. W tym ruchu był pewien rodzaj uporu, który mówił: to ja decyduję, jak wyglądam. Julia patrzyła na nią i po raz kolejny złapała się na tej samej myśli: „Gdzie podziała się ta mała dziewczynka z rozwichrzonymi kucykami, która kiedyś biegała po domu w za dużych skarpetach, przewracając się o każdy dywan?". Teraz stała przed nią niemal dorosła. Nie tylko przez to, jak wyglądała, ale przede wszystkim przez to, jak potrafiła spojrzeć, krótko, pewnie, z cieniem ironii w oczach. W jednej chwili Julia widziała w niej tamtą małą dziewczynkę, a w drugiej – młodą kobietę, której nie dało się już zatrzymać.

Z rozmyślań wyrwał ją Marek, który właśnie wszedł do salonu, niosąc na rękach ich pięcioletniego syna Szymka. Chłopiec był już w piżamie, zmęczony i ziewający, z głową opartą na ramieniu ojca.

– Kalina jeszcze nie wróciła? – zapytał mąż, zerkając na zegar ustawiony na komodzie. Wskazówki nieubłaganie zbliżały się do dziesiątej.

Julia stała przy oknie z telefonem w dłoni. Odwróciła się gwałtownie, w jej oczach malował się strach, który narastał z każdą minutą.

– Nie – odparła cicho. – I zaczynam się bardzo niepokoić. Dzwoniłam do Jagody. Powiedziała, że wracały osobno. Ponoć Kalina spieszyła się do domu.

Marek westchnął i postawił Szymka na podłodze, po czym dał mu lekkiego szturchańca w plecy.

– Idź do siostry, Szymciu, dobrze?

Chłopiec, nie do końca rozumiejąc napiętą atmosferę, pomaszerował powoli w stronę pokoju Poli.

– Uspokój się. – Marek próbował załagodzić sytuację. – Może autobus się zepsuł. Albo Kalina po prostu się spóźnia. Zaraz spróbuję do niej zadzwonić.

– Dzwoniłam już ze dwadzieścia razy! – Julia podniosła głos, po czym przygryzła wargi. Ścisnęła komórkę tak mocno, że aż zbielały jej knykcie. – Na pewno coś się stało. – Jej głos zadrżał. – Jadę jej szukać.

– Mam jechać z tobą? – zapytał natychmiast i sięgnął po kluczyki z półki.

– Nie. – Pokręciła głową. – Zostań z dziećmi, na wypadek gdyby Kalina wróciła... – Zawahała się. – Jeśli coś się wydarzyło, nie możemy zostawić ich samych.

Marek zbliżył się i delikatnie ujął jej dłoń.

– Spokojnie, Julcia. Może się tylko zasiedziała u kogoś albo nie ma zasięgu. Bez paniki.

Julia skinęła głową, choć tętno skoczyło jej jak szalone, dudniąc aż w skroniach. Oderwała się od okna, niemal przewracając krzesło. Drżącymi dłońmi wsunęła stopy w buty, które stały krzywo przy drzwiach, po czym narzuciła

kurtkę, nie zważając na to, że zamek się zaciął. Kiedy wybiegła na zewnątrz, trzasnęła drzwiami.

Wiatr uderzył w nią z ogromną mocą. Smagał jej twarz bezlitośnie, targał włosy i szarpał poły kurtki. Liście, które przez cały dzień zalegały w kątach chodników, teraz wirowały w szaleńczym tańcu w blasku ulicznych latarni. Miasto wydawało się obce, jakby pojawiło się w nim coś nieznanego i przerażającego. Zatrzymała się na moment zdezorientowana. Dopiero wtedy zrozumiała, że nie ma planu. Nie wiedziała, gdzie zacząć. Stała na schodach przed domem, bezradna, a w jej głowie dźwięczało jedno pytanie: „Gdzie jesteś, Kalina?".

Ruszyła w stronę przystanku, na którym córka zazwyczaj wysiadała. Kroki odbijały się głuchym echem od pustych, mokrych chodników. Przemierzała znajome ulice, teraz ciche i niepokojąco puste. Miasto zapadało w głęboki, mroczny sen. Czuła, jak niepokój narasta w niej z każdą sekundą, niczym ciężar przygniatający klatkę piersiową.

„Nie wierzę, że nam się to przytrafiło... – myślała gorączkowo. – Tyle razy ich ostrzegałam. Mówiłam: nie rozmawiajcie z obcymi, nie klikajcie w nic podejrzanego, uważajcie na siebie..." A jednak coś poszło nie tak.

Deszcz przybrał na sile. Spadał z hukiem na dachy samochodów, chlupał pod butami i ściekał z kaptura wzdłuż karku. Julia nie czuła zimna, adrenalina odcinała ją od wszystkiego poza jednym – strachem.

Światło latarni migotało niczym przestraszone. Drzewa szeleściły złowrogo.

I wtedy zobaczyła go pod wiatą przystanku. Leżał tam samotny, ledwo widoczny w półmroku. Plecak.

Podeszła wolno, jak gdyby zbliżała się do krawędzi urwiska. Wzór biało-czarnej kraty. Breloczek Hello Kitty przy zamku. Znała go zbyt dobrze. Widziała, jak Kalina zapinała go codziennie rano przed wyjściem do szkoły.

Jej serce łomotało w piersi jak szalone.

„To niemożliwe…", przeszło Julii przez myśl, ale nie było miejsca na wątpliwości. Wzięła plecak w ręce. Był mokry i ciężki od deszczu. Zacisnęła zęby, żeby nie wybuchnąć. Czuła, jak łzy napływają jej do oczu, nie pozwoliła im jednak wypłynąć. Jeszcze nie teraz.

– Kalina… – Zdawało się, że szepcze jakąś modlitwę. Głos jej zadrżał, ledwo słyszalny w szumie deszczu.

Nie miała już czasu na myślenie. Instynkt przejął kontrolę. Wyciągnęła telefon z kieszeni kurtki, jej palce były mokre i śliskie, ale jakoś udało jej się trafić w ekran. Wpisała 112 i przycisnęła zieloną słuchawkę.

– Proszę, odbierzcie szybko… – szepnęła, czując, że teraz liczy się każda sekunda.







Dwa

Komisarz Jan Matejko nie lubił prowadzić spraw dotyczących dzieci. Nie dlatego, że były bolesne, na to zdążył się już uodpornić. Po prostu budziły w nim coś, co starał się ukryć głęboko w sobie. Coś, co miało twarz jego młodszej siostry, która kiedyś zniknęła na trzy dni. Wróciła cała, ale inna. Od tamtej pory Matejko nie lubił pustki. A zaginione dziecko to była pustka absolutna.

Nie wyglądał na śledczego. Gdyby ktoś spotkał go na ulicy, mógłby pomyśleć, że to facet z jakiejś niszowej kapeli punkowej albo instruktor wspinaczki górskiej. Nosił glany, stare i z przetarciami, które nadawały mu trochę niedbały wygląd, do tego krótką kurtkę bojówkę, ciemnozieloną z lekko odklejonym rzepem przy kieszeni. Na głowie szarą wełnianą czapkę, która zasłaniała siwiznę na skroniach. Zimą była praktyczna, latem nosił ją z przyzwyczajenia. Niektórzy do dziś nie mogli pogodzić się z faktem, że ktoś, kto się tak nazywa, nie maluje obrazów, tylko rozwiązuje sprawy kryminalne, które przypominają piekło.

W kieszeni zawsze miał paczkę papierosów, tych najmocniejszych, chociaż sam sobie obiecywał, że rzuci po każdym większym śledztwie. Nie słuchał jazzu, bluesa ani żadnej ambientowej elektroniki jak młodsi śledczy z wydziału. Tylko Queen. Freddie Mercury był dla niego kimś w rodzaju duchowego patrona – dramatyczny, nieoczywisty, niepokorny. W aucie najczęściej leciało *Was It All Worth It*, a gdy sprawa się komplikowała, przechodził na *Innuendo* albo *The Prophet's Song*. Twierdził, że muzyka rockowa mówi więcej prawdy o człowieku niż jakiekolwiek przesłuchanie. Ostatnio coś go gryzło. Nie mógł przestać myśleć o wydarzeniach z minionych miesięcy, które zaczynały układać się w znajomy, niepokojący wzór. Trzy zaginione dziewczyny. Wszystkie odnalezione martwe. Wszystkie potraktowane brutalnie, ale z rozmysłem. Ktoś, kto to robił, nie działał w afekcie, tylko planował zbrodnie, tworzył swoje chore dzieło. Choć *modus operandi* różnił się we wszystkich trzech przypadkach, Matejko czuł, że to ten sam sprawca.

Zatrzymał radiowóz przy przystanku, który znajdował się na końcu jednej z bocznych ulic w Gliwicach. Z tego miejsca łatwo można było zobaczyć, jak miasto przechodzi od tętniącej życiem, ale pełnej chaosu dzielnicy przemysłowej w kierunku spokojniejszych, bardziej zielonych rejonów. W nocy Gliwice oświetlone latarniami wyglądały jak miasto rozdarte na pół – nowoczesność zderzała się z historią.

Matejko spojrzał na raport, który wręczył mu właśnie aspirant Sławomir Kowal, wysoki, barczysty facet po czterdziestce, z twarzą zawsze lekko zmęczoną, jakby nocny

dyżur nigdy się nie kończył. Miał przycięte krótko włosy, nos lekko skrzywiony po starym złamaniu i spojrzenie człowieka, którego świat dawno przestał zaskakiwać, ale jeszcze nie zdążył go całkiem znieczulić. Kowal był jak stary pies policyjny: cichy, lojalny i skuteczny, choć nikt nie pamiętał, kiedy ostatnio brał urlop.

– Plecak znaleziony na przystanku. Telefon wyłączony. Dziewczyna nie wróciła do domu, a matka stanowczo twierdzi, że to nie w jej stylu – powiedział Kowal. – To, co najbardziej mnie niepokoi, to brak jakichkolwiek wskazówek. Brak świadków, brak oznak walki.

– Zawsze jest jakiś ślad – mruknął Matejko. – Tylko czasem trzeba go dobrze poszukać. – Spojrzał na Kowala spod krzaczastych brwi. – Mamy już lokalizację telefonu? – zapytał po chwili.

– Ostatnia aktywność: godzina dziewiętnasta czterdzieści siedem, BTS w rejonie stadionu. Potem cisza.

Matejko skinął głową, wciągając do płuc dym z papierosa.

– Wyślijcie patrol w tamten rejon i zróbcie zrzut z monitoringu miejskiego w tej okolicy.

Kowal kiwnął głową i przekazał polecenie przez radio.

– Mamy numer autobusu, którym mogła wracać – dodał po chwili. – Kierowca kończył kurs kilka minut po dziewiętnastej trzydzieści. Bieniek jedzie go przesłuchać.

Komisarz patrzył przez szybę radiowozu na kobietę siedzącą na ławce. Trzymała w ręce plecak, jak gdyby był wszystkim, co jej zostało. Miała jasnobrązowe włosy, związane w niedbały kok, z którego wymykały się pojedyncze pasma. Jej twarz była delikatna, o łagodnych rysach i oczach

w odcieniu ciemnego miodu, w których zgasło światło swobodnych dni. Wysoka, smukła, z naturalną gracją.

– Co mamy na temat zgłaszającej zaginięcie? – zapytał po chwili.

– Julia Maj, lat czterdzieści dwa, psycholog. Pracuje w Klinice Zdrowia Psychicznego przy Uniwersytecie Medycznym w Katowicach. Żona, matka trojga dzieci. Córka Kalina, lat szesnaście. Dobra uczennica, spokojna i lubiana. Dwoje młodszych dzieci zostało w domu z ojcem, Markiem. Żadnych zgłoszeń o problemach, żadnych powodów do ucieczki. Przynajmniej na pierwszy rzut oka – odczytał Kowal ze wstępnego raportu.

Matejko wysiadł z samochodu i podszedł do Julii, wolno i uważnie. Nie chciał jej przestraszyć ani zdominować. Kobieta stała teraz pod wiatą przystanku, skulona, z plecakiem Kaliny przyciśniętym do piersi. Miała przemoczoną kurtkę, oczy czerwone od płaczu i twarz, na której zmęczenie i panika walczyły o pierwszeństwo.

Przez ułamek sekundy tylko na nią patrzył. Nie mógł jej niczego obiecać. Nie miał prawa.

– Pani Julia Maj? Komisarz Jan Matejko, Komenda Wojewódzka Policji, Wydział Kryminalny – przedstawił się, pokazując legitymację służbową. – Musimy porozmawiać.

Julia skinęła głową, ale nie podała mu ręki.

– Córka miała wrócić po dziewiętnastej. Przysłała wiadomość „Zaraz będę" i... nic. Czekałam. Myślałam, że może się spóźnia, może autobus jej uciekł i przyjedzie kolejnym. Ale gdy znalazłam plecak...

– Czy w ostatnim czasie córka zachowywała się inaczej? Czy coś ją martwiło?

Spojrzała na niego ze smutkiem.

– Jestem psychologiem, panie komisarzu, obserwuję ludzi z natury, a mimo to niczego nie zauważyłam. Kalina była spokojna i skupiona na nauce. Miała plany, swoje pasje i mnóstwo znajomych.

– Czy wspominała o kimś nowym w swoim życiu? Z kimś pisała, spotykała się?

– Nie, ale... – Urwała na chwilę. – Teraz, jak o tym myślę, to mam wrażenie, że od kilku dni była rzeczywiście trochę bardziej wyciszona. Myślałam, że to przez szkołę.

– Czy możemy przejrzeć jej pokój?

Julia skinęła głową.

– Róbcie, co musicie. Chcę tylko, żebyście ją znaleźli. Żywą.



Kiedy komisarz podjechał pod dom Majów, panowała głęboka noc; ten moment, kiedy cisza jest czymś naturalnym i kojącym. Silnik zgasł, a światła radiowozu jeszcze przez chwilę rozświetlały fasadę jednorodzinnego domu z niskim ogrodzeniem i niedużą latarnią przy furtce. Dom wyglądał na spokojny, nawet teraz, w tym zatrzymanym tragedią czasie. Julia otworzyła mu drzwi, zanim zdążył zapukać. Stała w progu w dresie i wełnianych skarpetach, blada, z oczami przekrwionymi od niewyspania, ale wciąż czujnymi. Wpuściła go do środka bez słowa.

W jej spojrzeniu czaiło się coś więcej niż zmęczenie – była w nim kurczowo trzymana nadzieja, coś rozpaczliwego. Chciała wierzyć, że Matejko nie przyszedł

z pustymi rękami, że może jego obecność sama w sobie coś rozwiąże.

Wnętrze domu było ciepłe, łagodne, nie chciało dopuścić do świadomości tego, co się wydarzyło. Drewniane podłogi skrzypiały miękko, aromat lawendy unosił się z kominka zapachowego na parapecie, a z kuchni dolatywało ciche tykanie zegara. Te drobiazgi tworzyły pozory normalności, tej codziennej rutyny, która właśnie została brutalnie przerwana.

W salonie czekał mężczyzna. Wysoki, dobrze zbudowany, z dłońmi tak delikatnymi, że nie pasowały do reszty jego sylwetki. Wstał z fotela na dźwięk kroków.

– Marek Maj – przedstawił się krótko, podając rękę. Uścisk był mocny, zbyt mocny, trwał zbyt długo. Ojciec Kaliny desperacko próbował w tym jednym geście utrzymać pozory siły i kontroli.

– Komisarz Jan Matejko, Komenda Wojewódzka – odpowiedział, patrząc mu prosto w oczy.

Przez chwilę nikt się nie odezwał. Milczenie przytłaczało. Matejko rozejrzał się po wnętrzu. Półki pełne książek, rysunki dzieci przypięte magnesami na lodówce, kilka niedbale rzuconych zabawek na kanapie. Normalny dom. Jak zdjęcie rodzinne sprzed katastrofy.

– Dzieci śpią – powiedziała Julia cicho. – Staraliśmy się... zachować spokój.

– Dobrze zrobiliście – odpowiedział. – Trzeba chronić to, co zostało.

Marek oparł się o framugę drzwi. Jego ciało wyglądało niczym rozpadający się zamek z piasku. Nie powiedział nic. Może nie miał już słów.

Komisarz nie zadawał jeszcze pytań. To był ten moment, kiedy należało pozwolić domowi przemówić. W ciszy, w jego woni, w drobnych śladach. W tym, co nie zostało wyrażone.

– Pokój Kaliny jest na górze – odezwała się Julia. – Niczego nie ruszałam.

Matejko skinął głową. Gdy wchodzili po schodach, zauważył, że Julia idzie jak w transie, krok za krokiem, bez wahania, prowadząc go przez muzeum tragedii.

Pokój był jasny, uporządkowany, dziewczęcy, ale bez przesady. Pozbawiony jakichkolwiek dramatycznych manifestów czy śladów złości, które często zdradzały wewnętrzne konflikty młodych. Ubrania ułożone w szafie, kosmetyki na toaletce. Na ścianach zdjęcia z wakacji, ze szkoły, z przyjaciółmi. Matejko naciągnął lateksowe rękawiczki na dłonie, po czym odkleił jedno z nich i wziął je do ręki. Spoglądała na niego dziewczyna z pięknym szerokim uśmiechem, o błękitnych oczach, w których było widać wiarę, że wszystko jest możliwe.

– To Kalina. – Z rozmyślań wyrwał go głos Julii.

– Mogę zachować to zdjęcie? Będzie nam potrzebne podczas śledztwa.

– Oczywiście. Proszę brać, co trzeba. Wszystko, co może pomóc.

– Zabezpieczymy laptop. Zobaczymy, z kim pisała, co czytała, czy coś ukrywała.

Julia skinęła głową i opuściła pokój, zostawiając go samego.

Matejko stał na środku pomieszczenia bez ruchu, nie analizował. Po prostu słuchał przestrzeni. Czasem trzeba

pozwolić, żeby miejsce samo się odezwało. Ale ten pokój milczał. Był zbyt czysty, zbyt poukładany.

Po kilku minutach zszedł na dół. Julia czekała w kuchni z parującym kubkiem herbaty. Sama nie piła, jedynie trzymała naczynie i szukała w nim ciepła, którego już nie czuła.

– Coś pan znalazł? – zapytała.

– Na razie nic, co wskazywałoby na ucieczkę, samookaleczenie albo kontakt z kimś niebezpiecznym. Pokój czysty. Jak gdyby po prostu wyszła na chwilę.

Julia spojrzała na niego. Na jej twarzy nie było już paniki, tylko puste zmęczenie.

– Ale nie wróciła.

Matejko nie odpowiedział. Każde słowo wydawało się nie na miejscu.

Wyszedł na zewnątrz. Deszcz przestał padać, ale powietrze wciąż było ciężkie. Kowal już czekał oparty o maskę radiowozu, dłonie miał schowane w kieszeniach.

– Trzeba będzie sprawdzić wszystko: Messenger, WhatsApp, TikTok, Instagram. Jeżeli z kimś pisała, znajdziemy to.

– Zlecę to ludziom z cyber.

Komisarz zaciągnął się papierosem i zmierzył go wzrokiem.

– Coś ci się stało?

– Zakwasy – odpowiedział Sławek, robiąc przy tym zbolałą minę.

– Od czego?

– Od siłowni.

Matejko parsknął.

– Ty i siłownia?

– Trenerka mnie ciśnie.

– Ta z bicepsami większymi niż twoje?

– Właśnie ta.

Na chwilę zapadła cisza, lekka i potrzebna, a potem komisarz odezwał się już poważnie:

– Wolałbym, żeby ta sprawa nie miała nic wspólnego z tym, co się działo w Zabrzu i Bytomiu.

Kowal skinął głową.

– Trzy dziewczyny, dwa miesiące. Jeśli to ta sama ręka...

– ...to znaczy, że nie skończył – dopowiedział Matejko cicho.



flow

wydawnictwoflow.pl

NAJGROŹNIEJSZE RANY TO TE, KTÓRYCH NIKT NIE ZAUWAŻYŁ.



Nie każda trauma kończy się wraz z dzieciństwem. Są historie, które dojrzewają przez lata, aż w końcu upominają się o uwagę z siłą, której nie sposób zatrzymać.

Justyna Janik Videira zabiera czytelnika w mroczną podróż przez dzieciństwo naznaczone krzywdą, dorastanie w cieniu niewypowiedzianego bólu i dorosłość, w której przeszłość wciąż domaga się sprawiedliwości.

To poruszająca opowieść o konsekwencjach przemocy, o milczeniu, które rani równie mocno jak zadawane ciosy, i o ludziach, których można było ocalić, gdyby ktoś spojrzał na nich uważniej.

Mocna, przejmująca i pozostająca w pamięci historia, która przypomina, że największe tragedie często zaczynają się od obojętności.

W sprzedaży także:

ebook audiobook

Cena 49,90 zł

ISBN 978-83-8364-193-5



Patronat medialny

lubimyczytać